



## Zbigniew Skoczylas

## część IV z IV

Sygnatura notacji: **N0005**

Data urodzenia: **02.08.1928 r.**

Data nagrania: **13–14.11.2006 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Anna T. Pietraszek**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 59 min, część III: 49 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 48 min**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Zbigniew Skoczylas:** Oficerowie byli w cywilnych garniturkach. Było ich ze mną czterech, obeszlili ile okien, ile drzwi, które, bo tam na piętro trzeba było wejść od innej strony, żeby po schodach zjechać też na dół. I o godzinie 20:00 przez wszystkie drzwi, okna i z góry moje ZOMO ładuje się do środka po czterech ludzi na każdego, łap za ręce i nogi, podjeżdżają autokary do autokarów i z powrotem do Jachranki, prawda, do miejsca stałego pobytu. I tak myśmy zadziałali, prawda. Ja usiłowałem nakłonić prymasa przez sekretarza, żeby przyjął ich delegację. Oni chcieli złożyć taką petycję. Może by się było udało nawet bez ZOMO, ale ksiądz prymas nie miał ochoty ich przyjąć. Poprosiłem księdza sekretarza, żeby nakłonił księdza prymasa, żeby na ten dzień zechciał się ze swojej siedziby oddalić, a resztę to my już załatwimy, o godzinie 10:00 będzie już na pewno po wszystkim. I o 8:00 jako się rzekło, nagle wszystkie drzwi, aha, bo ja wszedłem najpierw na salę, powiedziałem, że proponuję, żeby wszyscy wyszli, za chwilę podjadą autokary. Nie, oni nie wyjdą. No to jest mi przykro, jeżeli nie, to w tej chwili wyjdziecie inaczej. W tym momencie otworzyły się wszystkie drzwi i okna, które moi chłopcy i dziewczęta pouchylali pod pozorem, że trzeba świeżego powietrza, bo tam zaduch był. I wpadli ci zomowcy, złapali za ręce i nogi całe towarzystwo. Trwało to może półtorej minuty, jedna szyba nie wyleciała, nic, wszystko. Załadowaliśmy ich do autokarów, no i wywieźliśmy do Jachranki, gdzie oni założyli strajk głodowy. Ale ponieważ ja wiedziałem, że przedtem kupili trzy barany i je zapeklowali i, to powiedziałem, niech głodują, a tu [niezrozumiałe, 00:01:57] I po pięciu dniach strajk się skończył. Zresztą to nie będzie się nadawało do upublicznienia. W którymś momencie ja miałem tych uchodźców już, no jak na początek to było, w porównaniu z innymi krajami, to był śmiech na sali. Ale jak na początek tośmy mieli już prawie trzy i pół setki, a u nas to cholernie drogo wychodziło, bo myśmy ich musieli zakwaterować w tych ośrodkach wczasowych nad zalewem Żegrzyńskim, które w tym czasie nie miały zupełnie klientów, bo to się wszystko zaważyło. Ale pieniądze

to oni sobie liczyli takie, jakby to byli kuracjusze czy wczasowicze. I pamiętam, że nam to wychodziła jednostkowa cena od osoby miesięcznie koszt utrzymania tych uchodźców kształtował się w tymże czasie, przeliczeniowo na dzisiejsze pieniądze, na poziomie gdzieś 1300–1400 zł. Więc to były straszne pieniądze w tym czasie, gdzie polska rodzina przeciętna nie miała na całą rodzinę, w poniekórych przypadkach takich pieniędzy. Więc ja doszedłem do wniosku, że obowiązek mój obywatelski, sumienie, przecież polska racja stanu nie pozwalają mi na tolerowanie takiego stanu rzeczy. I miałem taką dobraną grupę, o czym za chwilę, chłopców i dziewcząt, którzy otrzymali zadanie, że uruchomimy przerzut ich wszystkich przez Zieloną Granicę do Niemiec, bo tam pieniędzy jest sporo, oni zresztą chcą. I gdzieś w ciągu półtorej miesiąca wypchnęliśmy to całe towarzystwo. Zostało nam chyba 83, niektórych trzy razy łapano. To już były takie totalne nieudaczniki. Doszliśmy do wniosku, że taka liczba to jest ten polski kwiatek do kożucha, który akurat nam odpowiada i my ich jako naszą ozdobę tu będziemy utrzymywać. I tak nam to ładnie wyszło. I to zostanie zastrzeżone, że tego ze względu na pewne rzeczy nie można upubliczniać. Jest jeszcze druga historia o tych chłopcach i dziewczętach, dlatego że jak to bractwo nam tu zaczęło napływać, to ja się szybko zorientowałem, że mamy między nimi arabskich fundamentalistów i że nie ma wątpliwości, że są tam ludzie, którzy tu są na przechowanie z Hamasu i Dżihadu. Zresztą był taki wypadek, strzelanina była, zastrzelono jednego z przywódców takiego ugrupowania w hotelu proszę cię, tym przy placu Piłsudskiego. Był taki jeden wypadek. Jak ja się zorientowałem, to poszedłem do Milczanowskiego, który był wtedy szefem UOP-u i powiedziałem, że: „Panie ministrze, tu czeka prawie trzy tysiące chłopaków z byłego SB na weryfikację. Ja sobie z nich chcę wybrać dwóch chłopaków i dwie dziewczyny, bo ich będę potrzebował do pilnowania niektórych”. Powiedziałem mu, o co chodzi. I on mi dał plac. To już było po zwolnieniu tego kierownictwa całego, a więc ministra ówczesnego, wiceministrów, zwolniono już wszystkich dyrektorów departamentów, naczelników oddziałów i wydziałów, i zostali szeregowi funkcjonariusze służby bezpieczeństwa. Wstąpił porucznik kapitan Rządka, tam gdzieś też jakiś major. Wszystko to było dobrze wykształcone, sporo prawników, prawie wszyscy po Akademii Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. I ja sobie tak przez tydzień chodziłem między nimi. Oni bardzo rzetelnie przychodzili na 8:00 do pracy, przynosili każdy po pół litrze, siedzieli do 3:00 te pół litra wypijali, a o 3:00 szli do domu i tak przez kilka miesięcy. To dość długo trwała ta weryfikacja. Ja sobie tam znalazłem takich chłopaków właśnie, dwóch i dwie dziewczyny, no i oni stanowili mi to zaplecze mojego wewnętrznego wywiadu i kontrwywiadu w sprawach tych wszystkich. Między innymi od nich wiedziałem, że kupiono trzy barany zapakowane. I to było cenne, i to nam pozwalało wiedzieć, co się tam dzieje. Ale jak sobie obejrzałem te trzy tysiące, prawie, no dwa tysiące prawie chłopów, to doszedłem do wniosku, aha, a jeszcze tam był w dyspozycji ministra, późniejszy jego doradca, nomen omen też Skoczylas, tylko Waclaw. Ale nie żadna nawet najdalsza rodzina, tylko zupełnie taki zbieg okoliczności. A Wacek Skoczylas to był oficer milicji, szef pionu gospodarczego. To były takie wydziały K17, które się specjalizowały w sprawach przestępczości gospodarczej. Bar dobrał świetnie przygotowanych ludzi. To nie była duża grupa, to było około 150 osób, ale to wszystko było po pełnym wykształceniu ekonomicznym. Tak że przygotowani byli doskonale, ale oni głównie tępil badylarzy na pewnym etapie, prywatną inicjatywę. I wtedy zapadła decyzja, że to należy wszystko rozpędzić. Więc Wacek, który siedział tam w dyspozycji, napisał taki elaborat, bardzo zresztą cenny, to było chyba ze 14 stron, wyjaśniający, że w warunkach budowy wolnego rynku i przemiany ustrojowej narasta groźba zaistnienia w Polsce zorganizowanej przestępczości o zupełnie niewiarygodnej skali. I że przeciwdziałać temu można tylko tworząc pion. Przede wszystkim zajmujący się przestępczością gospodarczą, do czego trzeba wyjątkowo dobrze przygotowanych ludzi oraz dobrze przygotowany pion do walki z przestępczością zorganizowaną o charakterze mafijnym. To było w roku 1991. Więc

ja to przeczytałem, bo Wacek nie mogąc się z tym nigdzie przebić, przyszedł z tym do mnie. Ja to wziąłem, poszedłem do ministra Kozłowskiego i powiedziałem, że tak będzie, że tu pan pułkownik Skoczylas ma rację i że trzeba się zastanowić, jak się do tego przygotować. Ja widzę takie wyjście. Te dwa tysiące chłopaków należy zebrać na tym wewnętrznym dziedzińcu, na który wychodzą okna gabinetu ministra. Zainstalować tam wielki gigantofon. Minister jak papież stanie w tym otwartym oknie i wygłosi do tych dwóch tysięcy febków przemówienie w takim duchu, że ich opieprzy za to, co do tej pory robili. Ale powie, że to się już skończyło, a teraz oni wszyscy mają się przygotować do walki z przestępczością mafijną, do strzelania się z mafią po ulicach i wszystkich konsekwencji z tego wynikających. I że ci ludzie się świetnie do tego będą nadawać. Na co Kozłowski spojrzał na mnie i powiedział: „Ty chyba żartujesz”. Ja mówię: „Nie, ja mówię poważnie. Zobaczysz, że to się skończy mafią na skalę niewyobrażalną w naszym kraju. Bo Skoczylas ma rację, pisząc ci o tym wszystko”. No ale okazało się, że układy są takie, że tego nie można zrealizować. Potem w zaparte szedł i Milczanowski już jako minister spraw wewnętrznych do końca pełnienia swoich funkcji nie chciał przyjąć do wiadomości, że będziemy mieli przestępczość zorganizowaną o charakterze mafijnym. A te dwa tysiące ludzi rozpląnęło się w strukturach mafijnych i półmafijnych. Część z nich poszła do tych różnych, proszę cię, przedsiębiorstw ochroniarskich, ale część. A znaczna część wylądowała w takich mniej lub więcej szemranych interesach i mniej lub więcej szemranych firmach i instytucjach. I tak się to niestety skończyło. A nie opieprzono, nie zatrzymano. Czwórkę udało nam się, to znaczy część z nich została zweryfikowana pozytywnie i poszła do policji, co ją pewnie teraz wyleją. Natomiast pobrano chłopców z VIP-u. Ja nie wiem dlaczego akurat VIP-owcy mieli być tym elementem, który się świetnie nadawał do walki z przestępczością. Witek Kosuś, Miodowicz, prawda, i te wszystkie inne postacie. To wszystko wtedy właśnie wylądowało u Milczanowskiego w UOP-ie.

### **Anna Pietraszek: Z czego to mogło się wziąć, że akurat ich pobrano tam?**

**Zbigniew Skoczylas:** No wiesz, no z czego? No niby pełnia zaufania niezwiązani z komuń. Zabrakło tego rozsądku, który prezentował w swoim czasie pan generał prezydent De Gaulle, który jak mu partyzanci de Gaulleści i partyzanci komuniści postawili warunek, że należy rozpędzić policję i żandarmerię francuską, bo ona kolaborowała z Niemcami i sformować nową policję, i żandarmerię właśnie z partyzantów jednych i drugich, to powiedział, że jest mu bardzo przykro, ale policja i żandarmeria pozostanie taka jaka jest, bo tych formacji nie tworzy się ad hoc, tylko przez lata całe dobierając właściwych ludzi. Natomiast zostaną ukarani ci wszyscy, którzy szeregowym policjantom wydawali rozkazy nakazujące prześladować niewinnych ludzi, patriotów i Żydów. I Czesi to zrobią. Zresztą wyłapuje się ich do dnia dzisiejszego, ostatnio nie pamiętam, ale nie tak dawno jeszcze jakiegoś byłego prefekta wsadzono do pudła za te filtry. Ale nikt się nie czepiał szeregowych policjantów.

### **Anna Pietraszek: To może, żeby dopełnić ten 1991 rok, bo tak powiedziałaś, że wyszedłeś tam z wojska w 1979, wyskoczyliśmy ogromny czas i jesteśmy w urzędzie do spraw uchodźców. Skąd się wziął ten urząd?**

**Zbigniew Skoczylas:** A to była ciekawa historia. Mianowicie jak byliśmy z Bogną w Nepalu, to między innymi mieliśmy okazję zapoznać się z losem uchodźców tybetańskich w dwóch wersjach. Wersja pierwsza to była jak sobie szliśmy na skróty z Paszu Patinatu do tej największej takiej ogromnej stupy, która jest w Katmandu.

## **Anna Pietraszek: Bodnad.**

**Zbigniew Skoczylas:** Tak. Tam można przejść, po drodze przechodzi się przez taką malutką rzeczkę. I tam nad tą rzeczką stały szałas z gałęzi, w których mieszkali uchodźcy z Tybetu. A potem byliśmy w Pokharze i chodząc po Pokharze trafiliśmy do ośrodka, który zorganizowała i utrzymywała niemiecka fundacja zajmująca się uchodźcami w różnych krajach dla uchodźców tybetańskich. I to był cudowny ośrodek z domkami jednorodzinnymi, wspólnymi obiektami, warsztatami, butikami, kuchnią. Notabene targowałem tam różne ciekawe rzeczy. Taka fantastyczna Tybetanka się ze mną, ładna, tak oryginalna, typowo tybetańska uroda, ale wysoka dziewczyna, tak metr siedemdziesiąt z hakiem i świetnie się targowała. Ale ja się też targowałem dobrze. I jak myśmy skończyli te targi, obie strony były zadowolone, to ona nam postawiła tę herbatę z masłem, z jaj. Myśmy się opili jak bąki. Ja nie wiem dlaczego wszyscy twierdzą, że to jest niedobre. To jest rozkosz w gębie. I to ją ujęło strasznie. I jak ja wróciłem, to była jakaś taka historia, że był u nas tu w domu Marek Nowicki, ale nie ten, który jeszcze obecnie żyje i działa w tej, no, w prawach człowieka, tylko świętej pamięci Marek, nasz kolega klubowy. I myśmy rozmawiali. Ja opowiadałem jak to różnie można ukształtować los uchodźcy, że szałas z gałęzi, no i wspaniały ośrodek. I tam pisałem na te różne tematy. I akurat się tak zdarzyło, że w jesieni, późną jesienią, w październiku, nie, to się zaczęło w zasadzie w lecie. Najpierw, proszę cię, duża grupa Palestyńczyków i Libańczyków trafiła via Polskę do, Polska do Szwecji. I tam w Szwecji okazało się, że oni wszyscy trafili, a było to sto kilkadziesiąt osób, trafili do Szwecji na sfałszowanych wizach. Wobec tego natychmiast nam tych biedaków, Szwedzi w kajdanach przywieźli do Szczecina, bo obowiązywała już wtedy schengenowska zasada, że takim ludziom, takich ludzi powinni zatrzymać kraj, przez który przejeżdżają. No rzeczywiście, taka jest zasada. I deportować z powrotem lub udzielić im azylu, w zależności od tego. I to było pierwsze. Potem była druga grupa, to proszę cię, w Albanii doszło do draki i takie różne, bardzo nieciekawe elementy, głównie kurwiszony i alfonsi, w liczbie kilkuset osób, wdarli się do różnych ambasad i instytucji międzynarodowych i oświadczyli, że nie wyjdą, bo oni chcą azylu. I po długich targach pani Ogata uzgodniła, że każda ambasada ich sobie zabierze do swojego kraju. I to była druga taka grupa. Potem były trzy czy cztery grupy, głównie z Afryki Centralnej, to był Mozambik, Angola, którzy trafili do nas [via ] Związek Radziecki, a oni się uchylili, bo przekraczając granicę mieli wizy turystyczne do Polski i natychmiast po pojawieniu się w Polsce podarli paszporty. I był nawet kłopot z ustaleniem „who is who”, kto to jest. No w sumie zebrało się tego 300 kilkadziesiąt osób, było jeszcze trochę Pakistańczyków, trochę Irakijczyków, Irańczyków, Algierczyków, te takie uchodźczo-genne kraje.

## **Anna Pietraszek: I to był rok?**

**Zbigniew Skoczylas:** 1990 rok. I to wszystko oddano pod opiekę Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi, który nie mógł sobie z tym wszystkim poradzić, bo Polski Czerwony Krzyż jest bardzo sfeminizowany w tych swoich strukturach udzielania pomocy, a to towarzystwo, szczególnie Albańczycy, ale już na przykład Somalijszczy, to była też rzadka swółocz, ci którzy potem okupowali właśnie apartamenty księdza prymasa, no byli bardzo trudni, trzeba było chłopów do tego, żeby sobie z tym poradzić. I właśnie gdzieś Marek interweniując w sprawach którychś z tych uchodźców trafił do Kozłowskiego, a Kozłowski mu się zaczął wyżalać, że on nie ma w ogóle ludzi, którzy, prawda, by się tym mogli zająć. Marek, nic nie mówiąc, przyjechał tu do nas, powiedział tylko, że on spróbuje kogoś takiego znaleźć.

Ale pamiętając, że rozmawiał ze mną, to przyjechał bydle tutaj do nas i siedząc tak jak siedzi Bogna, ja siedziałem tutaj, Bogna tu, gdzie ja, zaczął opowiadać o tych wszystkich problemach i co z tym zrobić, i jak by to należało zrobić. Ja powiedziałem, jak należy zrobić. No to on wtedy powiedział: „To ja ci proponuję, żebyś ze mną zaraz pojechał do Kozłowskiego, tam na ciebie urząd czekał”. Ja myślałem, że go zabiję, ale on mówi: „Nie ma nikogo kto wie, kto problem zna, kto może”. I pojechałem do Kozłowskiego, Kozłowski mówi, że jest taka sprawa, no i czy ja bym się tego podjął. Ja mówię: „Ze wstrętem i niechęcią, i na okres nie dłuższy niż rok, półtorej. To znaczy do momentu zorganizowania i uruchomienia w uczciwy sposób całej sprawy, potem to musi przejść ktoś inny. I od następnego dnia zacząłem, zacząłem swoją działalność, która była piękna, bo byłem sam jak palec. Wobec tego zacząłem szukać, najpierw ukradłem dwójkę ludzi Czerwonemu Krzyżowi. Taką dziewczynę i jej późniejszego męża, Libańczyka, a właściwie maronita, bo to taki chrześcijanin libański, który okazał się nabytkiem bezcennym, bo władał ośmioma językami, w tym również władał Swahili, tą łąciną afrykańską. A myśmy mieli cholerne kłopoty z tymi Angoleńczykami i innymi, których nikt nie rozumiał. To się tłumaczyło z polskiego na angielski, z angielski na jakiś tam, a z tego na Swahili. No to wychodziły z tego niesamowite historie. A Joe potrafił to załatwiać, prawda, sam i we własnym zakresie. Potem ukradłem takiego chłopca, który się zajmował różnymi zagranicznymi sprawami prezydentowi miasta Warszawy, którym był wtedy nie pamiętam kto, po prostu przebiłem pieniędzmi. Proszę ciebie, on miał uposażenie rzędu 1200, ja mam datę 2400. I tak skaperowałem sobie towarzystwo liczące 16 osób, do których jeszcze dołączyła ta czwórka, proszę ciebie, z UOP-u. I już byliśmy dobrze. Potem myśmy dostali pomieszczenie, gdzie zorganizowaliśmy formalne biuro i zaczęliśmy normalnie działać. No przy czym działanie... Znacząca tragedia polegała na tym, bo ja się szybko zorientowałem, jakie my mamy formalne podstawy działania, bo to bardzo ważne. Okazało się, że nie mamy żadnych, bo nasza mała konstytucja, która wtedy obowiązywała, mówiła, że Polska ma prawo, to było przepisane z PRL-owskiej konstytucji, ma prawo udzielać azylu, nie podejmować się opieki nad uchodźcami, o tym w ogóle nie było mowy, tylko ma prawo azylu udzielać, prześladowanym działaczom komunistycznym, naukowcom prześladowanym za swoje teorie naukowe w duchu takim wiadomo jakim. I to było wszystko, nikomu więcej. A ja miałem do dyspozycji już duże pieniądze. Na dzisiejszy, pierwszy rok zamknęliśmy na dzisiejszą przeliczankę kwotę około 45 milionów obecnych złotych w 1991 roku. To wtedy było, to dzisiejsze pieniądze około 100 milionów. No jeżeli jeden uchodźca miesięcznie kosztował 1400 plus, oczywiście tam była, Bogna zresztą była zaangażowana też w to, bo trzeba im było zorganizować opiekę zdrowotną, przebadać to całe towarzystwo, bo diabli wiedzieli, co się tam. Najwspanialsze były dzieci, bo dzieci się błyskawicznie zaadoptowały, błyskawicznie nauczyły się mówić po polsku i przez dzieci załatwiała się wszystko z dorosłymi. Dzieci występowały w charakterze takich tłumaczy pierwszego rzędu. Dopiero bardzo poważne sprawy, zabierał się za to Joe. Więc jak myśmy to wszystko zaczęli uruchamiać, no to nam ruszyło, a kłopoty były przeróżne, dlatego że oni wszyscy chcieli koniecznie z Polski wyjechać, bo to ta ziemia obiecana, te kraje kapitalistyczne. Kierunki były generalnie dwa, Niemcy albo Szwecja. Ale Szwedzi to naród bardzo miły, pełen poświęcenia, oddania sprawom humanitarnym, ale doszli do wniosku, bo oni kładli nacisk na integrację, uchodźca się powinien zintegrować ze społecznością szwedzką, ale tę integrację przeprowadzali w Kirunie, tam za kołem podbiegunowym, gdzie zima trwa przez pół roku, a przez trzy miesiące prawie słońca nie widać. I jak my niektórych już wypychaliśmy w różne miejsca, to dostawaliśmy takie rozpaczliwe kartki z tej Kiruny, że oni marzą o tym, żeby wrócić nad Zalew Żegrzyński, że tam było tak pysznie, tak cudownie i czy nie moglibyśmy czegoś zrobić, żeby oni mogli wrócić. A ja mówię, a tu się zgina dziób pingwina, integrować się tam, bo tu będą z wami same kłopoty. Miałem taką dużą grupę, Angola to była jedna kolonia portugalska, a druga Mozambik. To byli ludzie

z Mozambiku. No już tak absolutnie czarni, to znaczy to nie była czerń, oni byli popielaci, taka czerń przypopielata i zupełnie negroidalne typy i o dziwo doskonale to wszystko było wykształcone. Szkoła średnia, technika i wykształcenie wyższe u Portugalczyków. I oni całą grupą ze Związku Radzieckiego trafili do nas, do Polski i zakochali się w Polsce. Oni nie chcieli ani do Szwecji, ani do Niemiec, tylko chcieli zostać w Polsce. Bywają różne skrzywienia. Więc, ja robiłem wszystko, co się dało, ale myśmy jak mówię wtedy nie mieli zapisu konstytucyjnego pozwalającego nam na udzielenie azylu w tym pojęciu jaki w tej chwili jest i wtedy już był w Europie pojmowany. Tylko musieliśmy występować do pani Ogaty, która mogła im nadać jako wysoki komisarz ONZ status uchodźców. I występowaliśmy właśnie o całą tę grupę, bardzo mi na nich zależało, żeby im naprawdę pomóc. I traf chciał, że gdzieś po dwóch miesiącach skończyła się wojna w Mozambiku. Podpisano porozumienie pokojowe i pani Ogata zawiadomiła mnie, że przykro jej bardzo, ale w związku z takim stanem rzeczy, to ona im prawa azylu nie da, statusu azylantów im nie da i oni mają wracać do Mozambiku. Wiadomo, że tam jeszcze do dzisiaj jest urwanie głowy, a wtedy to... I ta tragedia. Wezwałem tego starszego grupy, takie chłopisko chyba. 1,98 metra, chude, czarne. I mówię, no oni się wszyscy już nauczyli niezłe po polsku. Mówię mu, że tragedia, ja was jeszcze mogę przetrzymać miesiąc góra, bo tyle mogę zapłacić, przesuwając termin przyjęcia oficjalnie do wiadomości tego, co mi pani Ogata przekazała, ale potem tracę wszelką podstawę do pokrywania kosztów ich pobytu tutaj. No on się też zafrasował i mówi: „No nie wiem co mam, nic nie mogę zrobić, trzeba się będzie zacząć starać o wykupienie wam biletów lotniczych, może mi się uda na to uzyskać środki od pani Ogaty. Wszystko”. A on tak myśli, taki zasumowany i mówi: „No dobrze, a może byśmy spróbowali przez nasz kościół”. To ja mówię: „Zaraz, a jakiego to wy jesteście wyznania?” „A my jesteśmy zielonoświątkowcy”. „– I co macie kontakt? – No tak, my mamy kontakt z braćmi tutaj, prawda, z tych naszych gmin podwarszawskich, zielonoświątkowych i oni nam pomagają”. No to ja mówię: „Dawać tego waszego biskupa, zielonoświątkowców, jutro tutaj do mnie na konferencję”. I następnego dnia ten starszy, ten ich szef, nie wiem, nie, tytułowałem go ekscelencją na wszelki wypadek, no jak biskup, zgłosili się do mnie, ja mówię: „Mam taki problem, że kończy mi się możliwość udzielania pomocy, pozostaje jedno, staranie się o deportację do Mozambiku, a przecież ekscelencja wie, jak tam sprawy wyglądają”. „No tak, ale to w ogóle nie jest żaden problem, my ich rozberzemy po dwóch, trzech po gminach i zapewnimy mieszkanie, zapewnimy opiekę, no myśmy do tej pory tego nie robili, bo widzieliśmy, że tu jest im dobrze, ale jak to tak wygląda, to bez problemu”. „W tydzień czasu cała grupa została rozdzielona, jeszcze czasami niektórych w Warszawie spotykam. Oni wszyscy natychmiast się tu pozapisywali do szkół, na uczelnie, to była jedyna taka grupa, najgorzej było z tymi prawdziwymi Arabami: Syryjczycy, Irakijczycy, to było straszne, bo lekarze byli, myśmy im załatwili nawet możliwość, jak się to nazywa, uznania dyplomu lekarskiego, oni wszyscy byli po studiach medycznych w Związku Radzieckim, no więc to nie bardzo, ale na przykład był taki lekarz Egipcjanin, a właściwie on był Sudańczykiem, czarniuteńki, dryblas wielki i natychmiast się zgodził, że proszę bardzo, on chętnie zostanie stażystą za darmo. Podobno był ginekologiem, podobno na pierwsze podejście to wszystkie panie drgawek doskryptowały i mało ze strachu nie rodziły, jak taka wielka czarna małpa wtaczała się do gabinetu, ale potem go uwielbiały dziewczyny, miał tak rewelacyjne podejście do swoich pacjentek, został w Polsce, działa, więc niektórzy byli tego, a z niektórymi nie było siły. Najgorzej było właśnie z Somalisami i z Albańczykami. I tychśmy natychmiast przez zieloną granicę kanałem uszczelnionym wypompowali na zewnątrz. Mieliśmy ten problem, że nasza ustawa zasadnicza, która powinna regulować tryb przyznawania statusu azylu lub statusu uchodźcy, bo to są jednak dwie zupełnie inne rzeczy. My obowiązani byliśmy, starając się o wejście do Unii Europejskiej, stosować się do normatywów przyjętych w Unii, gdzie udziela się nie azylu, tylko udziela się statusu uchodźcy. I trzeba było

zmienić paragraf 88. małej konstytucji, co rzecz biorąc poważnie powinno zająć rok albo więcej, a ja poszedłem, Kozłowskiemu mówię, że jeżeli my tego nie zmienimy, to ty trafisz pod Trybunał Stanu, bo wydajemy pieniądze bez jakichkolwiek formalnych uprawnień do tego. Tak nie ma. Więc oczywiście zaraz wezwał do siebie naszego radcę prawnego, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, którym była pani Orłowska, pułkownik Służby Bezpieczeństwa i byłego Urzędu Bezpieczeństwa. Pani ze śladami, wtedy miała już 58 lat, ze śladami ogromnej urody, wysoka, postawna, łeb 6 na 6, coś niewiarygodnego, co to był za umysł. Więc ja to przedstawiam pani Orłowskiej, mówi: „Ma pan stuprocentową rację, panie ministrze, tak nie można, bo to się dla pana fatalnie skończy”. Musimy to szybko przeprowadzić. Nadzieja cała akurat w uchwalonym przez Sejm tak zwanej przyspieszonej ścieżce legislacyjnej, ale ona mówi: „Nawet na tej ścieżce może to długo potrwać, jeżeli się właściwie tym nie zaopiekuje”. Więc zaopiekowaliśmy się i Sejm w swojej mądrości postanowił, że zbierze się specjalna komisja, która nas wysłucha w tej materii i przygotowuje stosowny wniosek dla prezydium Sejmu, żeby ten paragraf 88. zmienić w duchu przystającym do tego, do czego zmierzamy, czyli do ustawodawstwa unijnego. Komisji przewodniczył senator Romaszewski, który nie był zachwycony tym pomysłem, że my będziemy mieli jakichś uchodźców. Nie wiem dlaczego, on taki wielki zwolennik praw człowieka, ale jakoś to mu niespecjalnie leżało. Może mu uważał, że to za szybko i za bardzo na grandę jest robione. A po naszej stronie był właściwie jeden jedyny człowiek, który niedawno zmarł, taki wybitny adwokat i poseł.

**Zbigniew Skoczylas:** Proszę?

**Anna Pietraszek: Wende.**

**Zbigniew Skoczylas:** Wende, dziękuję. Wende, który się zapalił do tego wszystkiego i całą tę sprawę nagrywał. I odbyło się takie wielkie posiedzenie tejże komisji, w czasie którego ja prezentowałem problem. Jako taki zwróciłem się do panów posłów z apelem, żeby zechcieli wejrzeć w tę sprawę, bo w tej chwili działamy nieformalnie i nielegalnie, i w świetle obowiązującego prawa nie możemy wydać ani złotówki, bo jest to nielegalne, a natomiast z drugiej strony nie możemy po prostu wziąć i wyrzucić tych wszystkich ludzi na ulicę i powiedzieć, że nas oni w ogóle nie interesują i niech się z nimi dzieje coś. No panowie posłowie się oczywiście zgodzili, że ten drugi wariant jest niemożliwy. Czy jest jakiś inny? Ja mówię: „Możecie panowie spróbować uchwalić jakąś specjalną ustawę, tylko że ta ustawa musi mieć przełożenie na zapis konstytucyjny, który w brzmieniu dotychczas obowiązującym uniemożliwia jakiegokolwiek zmiany, jakkolwiek działalność. Dlatego proponuję, żeby właściwie komisja zechciała się skoncentrować na jednej rzeczy, żeby zmienić ten zapis, że Polska może udzielić statusu uchodźcy każdemu, który taki status powinien otrzymać uwzględniając unijne i szengenowskie postanowienia w tej sprawie. A reszta, czyli ustawa o uchodźcach jest też konieczna, ale nad tym Sejm może popracować nieco dłużej, udzielając ministrowi do czasu rozwiązania tej sprawy prawa dofinansowania i rządowi dofinansowania i pokrywania kosztów pobytu w naszym kraju uchodźców, którzy taki status otrzymali”. I trwało tak jak zwykle w Polsce chyba ze sześć godzin, ta deliberacja, co z tym fantem zrobić, nareszcie odbyło się głosowanie, no i właściwie 100% głosami panowie posłowie uchwalili, że Sejm podejmie na przyspieszonej ścieżce legislacyjnej działania zmierzające do zmiany zapisu paragrafu 88., co zważywszy na konieczność uregulowania formalnego tych spraw musi nastąpić w czasie nie dłuższym niż dwa tygodnie. Wtedy ja wstałem, podziękowałem panom posłom za tę decyzję, bo ona nam rozwiązuje ręce, poprosiłem, żeby pani Orłowska zechciała wstać, bęcnąłem ją w mankiet, powiedziałem: „Proszę pani, a teraz odtańczymy dookoła stołu

prezydialnego, przy którym odbywały się narady, walca” i ruszyliśmy w tango, wjechaliśmy cały stół dookoła, panowie posłowie walnęli nam brawo, i wyszliśmy z honorem z tego wszystkiego, sprawa została załatwiona. Aczkolwiek, jeszcze to potem, to znaczy sam paragraf został zmieniony szybko, ale sprawa ustawy wlekła się chyba przez dwa lata, jak to zwykle w Polsce, bo bardzo godnie i spokojnie... No, ale nam to właściwie już nie przeszkadzało, dlatego że był ten zapis mówiący, że jednocześnie upoważnia się ministra spraw wewnętrznych do pokrywania kosztów, aż do momentu tego. Ale problemy były. Problemy były duże, ale dzieci chodziły do szkoły, opieka lekarska była zapewniona, wszystko było w porządku.

**Anna Pietraszek: Ale właściwie też tworzyłeś takie ośrodki jak Lesznów, rozmaite inne miejsca.**

**Zbigniew Skoczylas:** Na tym etapie myśmy mogli, była sprawa oczywiście utworzenia z prawdziwego zdarzenia ośrodków pobytowych dla uchodźców i ośrodka deportacyjnego, bo ci, którzy mieli szansę na uzyskanie statusu, wnieśli taki wniosek, powinni byli oczekiwać na decyzję w ośrodkach. Natomiast po odmownym załatwieniu przyznania takiego statusu mogli jeszcze próbować uzyskać kartę stałego pobytu bez poparcia biura Urzędu Pełnomocnika do Spraw Uchodźców i Biura do Spraw Uchodźców. Ale po odmowie w tej sprawie należało ich deportować. I do tego potrzebny był ośrodek deportacyjny i to zostało stworzone, ale to była już późniejsza. Ja rzeczywiście pociągnąłem to półtora roku, nie pełne półtora roku, do grudnia 1992 roku. Wszystko było zorganizowane i w grudniu 1992 roku pani profesor Łętowska poprosiła mnie, tam już był przygotowany mój następcą, taki Radek, poprosiła mnie, ale nie Sikorski, to nazwisko było Radek, i poprosiła mnie, żebym zechciał przyjść do niej, do Urzędu Rzecznika Praw Obywatelskich i zorganizować zespół do spraw Wojska i Służb Mundurowych w Urzędzie Rzecznika Praw Obywatelskich. I od 1 stycznia rozpocząłem działalność w tymże urzędzie, przy czym pierwsza sprawa, która została mi przekazana o godzinie 6:00 rano dnia 2 stycznia, bo ja zawsze byłem taki skowronek poranny i do pracy chodziłem na godzinę 6:00, a pani profesor Łętowska też i przez cały czas, jak tam razem pracowaliśmy, bo ona skończyła wcześniej, a ja po 8 miesiącach, też zorganizowane wszystko było, ale to już jest inna sprawa, zawsze prosiła mnie do siebie o 6:00, wypijaliśmy kawę, i pani profesor dzieliła się swoimi uwagami na temat działalności Urzędu Rzecznika, no i stawiała jakieś tam problemy, przedstawiała problemy, którymi ja się powinienem był zająć i pierwszy problem, którym się miałem zająć, była sprawa nieformalnego zwolnienia ze stanowiska admirała Kołodziejczyka przez pana ministra Parysa.

**Anna Pietraszek: Sprawa, bo powiedzieli, że widzieli zagrożenie terrorystyczne.**

**Zbigniew Skoczylas:** Tak, robili tak, że jak któremuś się tam już paliło wszystko pod nogami, to go przepychali za granicę, w bezpieczne miejsce, żeby sobie odsiedział, zresztą próbowali tutaj również organizować działalność, kierując działaniami tych organizacji, i to do nas docierało w różnej formie, ale myśmy nie wchodzili w to w ten sposób, żeby rozeznawać, tylko jak się taki ancymon pojawił, jak ustaliliśmy, że coś takiego ma miejsce, to się go błyskawicznie wysadzało z Polski. Nie bardzo formalnie, ale się go wysadzało.

**Anna Pietraszek: A dokąd?**

**Zbigniew Skoczylas:** Na ogół pomagaliśmy mu do Niemiec albo do Szwecji, wychodząc z założenia, że tamte

służby Bundesnachricht und Dienst i szwedzki kontrwywiad dobrze działają, więc poradzą sobie lepiej niż my, bo myśmy nie mieli ani wielkich możliwości. Nie bardzo było wiadomo jak robić, dlatego że praktycznie rzecz biorąc, tych ludzi można było deportować do ich krajów macierzystych, bo rzeczywiście tam im wszystkim groziło to, że im albo skrócą o głowę, albo powiedzmy wsadzą do mamra, a mamry, kryminały tam, to nie są ośrodki wczasowo-wypoczynkowe typu naszych więzień, tylko miejsca wyjątkowo nieprzyjemnego pobytu. Więc nie robiliśmy takiego świństwa, żeby kogokolwiek, nikogośmy nie wystawili poza granicę kraju. Znaczą bywały takie, był taki, z Litwinami mieliśmy kłopoty. To było akurat po tych awanturach przy wieży telewizyjnej w Wilnie, kiedy nagle masowo zaczęli nam się pojawiać Litwini, młodzi chłopcy, którzy koniecznie starali się o azyl, ale tu wtedy przyjechała do kraju delegacja, takiego, tego nieformalnego jeszcze rządu litewskiego, między innymi przyjechał ten, który miał zostać ich ministrem obrony, zresztą potem fatalnie skończył, bo wsadzili go chyba do mamra już w istniejącej Litwie za przestępstwa dewizowo-gospodarcze, tam jakieś takie, ale wtedy był kandydatem na ministra obrony narodowej. Ja z nim właśnie porozmawiałem, mówię tak: „No, dobrze, możemy udzielać azylu, jak już u was będzie naprawdę łyso, będziecie musieli stamtąd spieprzać, to nie ma w ogóle problemu, ale ja jestem zdumiony, że w tej chwili, jeżeli jeszcze nie ma takiej tragedii, jest tylko groźba, to młodzi chłopcy uciekają z Litwy zamiast się bić o Litwę wolną”. I on powiedział, że tak, mam rację, to jest absolutny skandal i żadnemu takiemu ancymonowi, żadnych tutaj mówić, że należy to. „To ja poproszę, – mówię – żeby pan minister mi to tutaj dał na piśmie”. Zrobiliśmy taką specjalną teczkę, gdzie on złożył, a swój podpis, bo powiedziałem, jak będzie coś, że trzeba, będzie nieformalnie wam udzielać pomocy, takiej, siakiej czy owakiej, to ja gotów jestem zorganizować jej udzielenie, ale pod jednym warunkiem, że za pańskim podpisem, ten, który się tu będzie zgłaszał, będzie honorowany jako pański przedstawiciel i proszę mi się tu podpisać, złożyć takie oświadczenie, że tylko za tym podpisem będzie udzielana pomoc, w żadnym, chyba, że on zrezygnuje ze stanowiska, to przyjdzie tutaj kto inny, który to, i on to złożył, a jednocześnie drugi taki, druga taka adnotacja była, że absolutnie żadnym młodym Litwinom w chwili obecnej nie udzielać statusu uchodźcy, a że oni wszyscy mają obowiązek walczyć o wolność Litwy. Cześć, do widzenia, sprawa się skończyła.

### **Anna Pietraszek: A przenikanie różnych, dziwnych typów z mafii sowieckich, to znaczy z Rosji, z Ukrainy, Uzbekistanu, Tadżykistanu?**

**Zbigniew Skoczylas:** To wtedy, tego problemu wtedy jeszcze nie było. To były przecież dopiero same początki, to jeszcze Gorbaczow istniał, jeszcze to było przed tym pierwszym puczem, to wszystko się zaczęło, działalność mafii rosyjskiej, taka wyraźna, zaczęła występować dopiero po roku 1994, w tych okolicach, lata 1991 – 1992, to był totalny rozpad istniejących struktur. Cholerny, niewiarygodny bałagan. Rzeczywiście wielu Rosjan próbowało się zahaczyć tutaj na prawach uchodźców, ale nie było formalnych podstaw do tego, żeby takiego statusu im udzielić. Nawet był taki wypadek, że jeden z nich na parolotni przeleciał z rejonu Grodna na naszą stronę, więc przymknięto po prostu na to oczy, nie deportowano go na tamtą stronę, ale zdarzały się liczne przypadki, że będąc w Polsce, za formalną zgodą, bo wtedy nie trzeba było żadnych wiz, niczego, nadal obowiązywała ta zasada, która obowiązywała przez całe dziesięciolecie, że obywatele krajów RWPG mogą za wbiciem takiej specjalnej pieczętki, która się u nas nazywała SK, z którą zresztą były straszne kłopoty, przechodzić granicę i to wystarcza. Kłopoty mieliśmy, jak myśmy z Nepalu mieli się przedostać do Chin w związku z akcją pochowania naszych chłopców, którzy zginęli na Lola. I jak pan Liu w ambasadzie chińskiej w Katmandu, konsul, zebrał nasze paszporty, położył przed sobą. Ja

mówię, że zasada jest ta, że pieczętka wbita tutaj, to ta SK tak zwana, pozwala nam przekraczać granicę wszystkich krajów socjalistycznych. [] Pan Liu spojrział na te wszystkie paszporty, tak dokładnie, jeden po drugim, spojrział na mnie, uśmiechnął się i zapytał: „A dlaczego każda ta SK jest inna?”. Bo każdy urząd wojewódzki miał inną pieczętkę, ale to było panu Liu trudno wytłumaczyć.

### **Anna Pietraszek: A Rumuni jeszcze.**

**Zbigniew Skoczylas:** A Rumuni to była zupełnie inna historia, bo to nie był przecież żaden exodus ludzi prześladowanych politycznie, to już było po tym przewrocie, po rozwaleniu Ceausescu, to byli Cyganie rumuńscy, którzy masowo postanowili sobie dorobić na zebraniu w Polsce. I zresztą problem istnieje do dnia dzisiejszego. I właściwie to na tej zasadzie, że przeciwko takim nędzaczom trudno stosować bezwzględne zasady, tego się po prostu nie da zrobić. Każdego cofa, jak widzi takiego biedaka cygańskiego. Ja pamiętam, że myśmy w Bułgarii zetknęli się z taką nędzą cygańską zupełnie niewiarygodnych rozmiarów. Na takim wysypisku śmieci pod Warną był taki obóz cygański zbudowany z szafasów, z tych śmieci. I taki śmierdzący potoczek tam płynął i te Cyganki, i te dzieci tam...

Głos zza kadru: Skórę wyrabiali, smród był niesamowity zupełnie. Więc wiesz, taka zupełnie niewiarygodna, rozmiar nędzy cygańskiej.

**Zbigniew Skoczylas:** Ja pamiętam tych kolorowych polskich Cyganów, którzy taborami, jeszcze jak ja byłem dzieckiem, to to było wydarzenie. Tabor cygański przyjechał do wsi i rozłożył się na pastwisku. Pół wsi tam się zlatywało, Cyganki wróżyły, Cyganie pobielali patelnie, bo to był główny zawód. I jeszcze tam, powiedzmy, kowale byli doskonali, bo oni byli dobrymi kowalami. I to było wydarzenie, te kolorowe wozy cygańskie, śpiewali, grali, czasem coś ukradli, kury z reguły. Ale było to sympatyczne, nikt ich nie prześladował u nas. I traktowano ich jako taki kolorystyczny element naszej polskiej rzeczywistości. Nie było nienawiści. Natomiast w Rumunii, na Słowacji, w Czechach, to tam wydawałoby się, w tych bardzo kulturalnych nacjach, jakieś jest takie zaparcie, że ten Cygan to jest taki gorszy gatunek. Myśmy mieli zresztą Cyganów na Podhalu, osiadłych Cyganów na Olczy. Byli Cyganie, którzy mieszkali, specjaliści od tłuczenia kamieni, co wcale nie było łatwym, a bardzo poszukiwanym zajęciem. Ja byłem tam kiedyś na weselu cygańskim z orkiestrą góralską, bo zaprosili, a chłopcy z orkiestry mnie tam zabrali. Posadzili mnie godnie za stołem, taki stary Cygan siedział koło mnie, wnieśli pieczeń. Więc tak na optykę, to co jest na półmisku, to widać, że to koń. A taki stary Cygan koło mnie siedzi i mówi: „Jedzcie panie, dobre mięso, z królika. Pijcie panie, dobra wódka”. A to denaturat z sokiem malinowym, ale nic się nikomu nie stało.